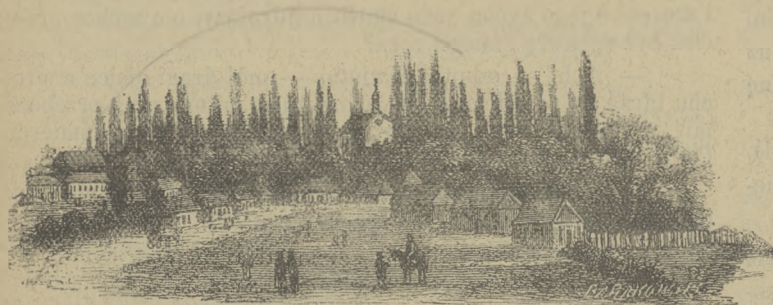




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



SOLEC.

Wieś Solec leży przy ujściu Krępianki do Wisły, w gub. radomskiej. Istniejące tu źródła słone były znane od niepamiętnych czasów. Osadzające się na pastwiskach kryształki soli podały myśl założenia warzelni, która wszakże później zaniedbaną została, źródła zaś wody słonej zasypiano. Odnaleziono je wszakże w 1815 roku, a gdy przypadkowo przekonano się o własnościach ich leczniczych, zwrócili na nie uwagę lekarze. Zbudowano łaźienki i od r. 1840 istnieje tu zakład zdrojowo-kąpielowy, położony o $\frac{1}{2}$ wiorsty od wsi, na piaszczystej równinie otoczonej drzewami, połączony ze wsią długą aleją.

Oprócz domków, należących do zakładu, jest hotel i zajazd, są dwie restauracje, cukiernia, sklepy spożywcze i inne. W hotelu znajduje się czytelnia i sala balowa z fortepianem; co tydzień odbywają się w niej wieczorki, czasem zawita podróżna trupa aktorów, czasem zdarzy się koncert. Wycieczki w okolice, do pobliskiej Stopnicy i Buska, do rozrywek miejscowych gości także należą.

PIEŚNIARZ.

Kiedy przechodząc o zmroku spotkamy wieśniaka wracającego z pola i usłyszymy prostotne słowa pieśni :

„Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie Boże prawy,
A gdy będziem zasypiali,
Niech cię nawet sen nasz chwali”.

Dźwięk tej pieśni mile wpada nam do ucha, ale zapewne nie zadajemy sobie pytania, kto i kiedy tę pieśń ułożył.

Ot, zdaje nam się, że wyrosła wśród nas i żyła się z nami, bo tak serdecznie przemawia do duszy.

Aż znowu zadźwięczy :

„Kiedy ranne wstają zorze
Tobie ziemia, Tobie morze
Tobie śpiewa żywioł wszelki
Bądź pochwalon Boże wielki”.

Z dźwiękiem tej pieśni jakieś błogie obejmie nas uczucie i pomimowoli zaczniemy wyrażać jej powtarzać. Więc kiedy te zwrotki tak przypadają nam do serca, kiedy ją powtarza wieśniak idący do pracy lub wracający od niej, bogacz we wspałym domu, jako i biedak proszący o grosz na kawałek chleba, musi być w tej pieśni jakaś ukryta siła i piękność, na której się pozna zarówno prostaczek jako i wykształcony.

Tą siłą i pięknnością jest właśnie prostota z jaką ten, co ułożył te zwrotki, przemawia.

A zwrotki te i wiele innych pieśni takich, religijnych jako i światowych, ułożył Franciszek Karpiński zwany „śpiewakiem Justyny” lub „poetą serca” dla tego właśnie, że pieśni jego tak nam wprost do serca trafiły. Urodził się on we wsi Hołoszkowie na Rusi Halickiej d. 4-go października 1741 r.

W przeszłym więc miesiącu minęło lat 150, gdy poeta ujrzał światło dzienne.

Rodzice jego, ludzie pobożni i cnotliwi, wychowywali go bardzo starannie, a chociaż szczerze kochali, nie psuli nigdy pieszczotą zbyteczną, lecz nakłaniali do nauki i pracy. Nauki, do których się bardzo pilnie przykładał, dały mu poznać ile był winien rodzicom, miłował ich też serdecznie, z wykształcenia swego nie pysznił się, lecz z największą skromnością i uległością słuchał rad ojca, a często nawet i surowych napomnień.

Raz nawet ojciec uderzył go w gniewie, poeta był wtedy już dorosłym, nie oburzył się jednak na to, lecz ucałował rękę ojcowską.

Wtedy ojciec uściskał go, mówiąc: „synu, widzę że nie napróżno łożyłem na twoję naukę, bo ona ci dała poznać jak masz starszych szanować”.

Karpiński nie tylko był poetą ale i nauczycielem, a jakkolwiek nieraz miał dużo kłopotów, gdy uczeń niezbyt pilnie brał się do pracy, spełniał jednak swoje obowiązki z całą łagodnością, pocieszając się po całodziennych trudach pisanem wierszy. Zostawił ich też немало, oprócz zaś religijnych pisał i światowe, które się tak podobały, że wszyscy je powtarzali i kto tylko mógł, uczył się na pamięć. Położył zaś tem wielką zasługę, przed nim bowiem nikt takich wierszy nie pisał, któreby można zaśpiewać w towarzystwie, a jednak i wtedy tak jak i teraz, niejeden miał ochotę zanucić smutną lub wesołą piosenkę. Od czasu gdy Karpiński swe pieśni ułożył, śpiewano je przy dźwięku gitary, instrumentu dziś już zapomnianego, a dźwięki jego pieśni uprzyjemniały niejedną chwilę.

Karpiński pod koniec życia osiadł w Chorowszczyźnie, majątku, który nabył od Czartoryskich, tam dzielił czas między gospodarzkę i prace literackie.

Później doczekał się starości, bo żył lat 84 i zmarł w Chorowszczyźnie, gdzie też został i pochowany. Nie zostawił żony ni dzieci, lecz płakało po nim grono serdecznych przyjaciół i wielbicieli jego talentu, nie postawiono mu też wspaniałego pomnika, tylko w Kołomyi skromny bardzo, który przedstawia ryciną naszą, lecz pieśń jego rozbrzmiewa daleko wznosząc się pobożną modlitwą ku niebu.

Zuzanna Morawska.

PRZED LAT TYSIĄCEM.

(Dalszy ciąg).

— Dziękuję ci, Hemonie, nie potrzebujesz się lękać chociaż mię uwolnisz od obecności świadków — mówił głos, na dźwięk którego zabiło serce Kwintusa, gdyż był to głos jego ojca; otworzyły się drzwi i Tytus Klaudyusz stanął przed nim.

— I tutaj to... w mamertyńskim więzieniu przyszło mi odnaleźć zbląkanego syna! — zawołał arcykapłan załamując ręce.

Taką boleść czuć było w głosie Tytusa Klaudyusza, że Kwintus zadrżał i zalał się łzami.

— Kwintusie! — ciągnął arcykapłan, a głos jego brzmiał słodko i łagodnie — prawdaż to, żeś nocą w kamieniołomie pośród Nazareńczyków przebywał?

— Tak, ojcie — odparł zcicha.

— I czegoś tam szukał wśród tych ludzi przeklętych i na stracenie skazanych?

— Tego, czegom bez przerwy szukał nadaremnie, a czegom pomiędzy prześladowcami Nazareńczyków nie znalazł. Spokoju méj duszy.

— Czy znasz nowe prawo Kwintusie? czy wiesz, że zbrodnia Nazaretanizmu karana jest śmiercią?

— Wiem, ojcie.

— Wiesz?!... a jednak przystałeś do téj sekty obmierzłej! ależ ciebie czarami uwikłano, mój synu!... ty nie możesz być przy zdrowych zmysłach! Słuchaj! ja przychodzę cię uratować. Wyprzej się przesadu, który przecież nie mógł opanować cię prawdziwie, złóż ofiarę Jowiszowi Kapitolińskiemu, a wstawiennictwo moje wyjedna ci u cezara zwolnienie od kary. Wszystko przygotowane; jutro o wschodzie słońca może się odbyć ceremonia. A do téj chwili pozostaniesz w moim domu, otoczony strażą, ale i temi względami, jakie się należą świetności naszego nazwiska. Chodź, synu, opuśćmy co prędzej, to miejsce nieszczęścia i hańby.

— Nie mogę, wasi bogowie już nie są moimi. Wyznawca Chrystusa, nie może składać ofiary Jowiszowi Kapitolińskiemu. Och! nie żądam odemnie mój ojciec tego, czego stanowczo odmówić ci muszę!

Wówczas dumny arcykapłan upadł na kolana i wyciągnął do Kwintusa ręce. Łzy strumieniami płynęły po zmienionej twarzy, która w przeciągu niewielu godzin wydawała się o kilkanaście lat starszą. Wyrwał włosy, uderzał czołem o kamienne płyty lochu i zaklinał syna, aby uporem swoim nie gotował mu tak strasznych męczarni, jakich jeszcze nigdy nie zaznał żaden człowiek na ziemi, przypominał mu lata jego dziecięce, kiedy go na rękach nosił i do snu pocałunkami kołysał... wszak on, Tytus Klaudyusz tylko dla dzieci swoich żył jedynie, tylko o nie się troszczył i dziś Kwintus, gwiazda i szczęście jego życia, jego skarb najdroższy, nie zechce przecież być sprawcą śmierci ojca?

— Ach! — szeptał Kwintus — mój drogi ojciec w prochu tarza się przedemną. O, Chrystusie miłosierny! przebacz mi!... ja nie chcę, ja nie mogę być sprawcą jego śmierci. Ojciec, idę z tobą, będę ci we wszystkim posłuszny...

Tytus Klaudyusz powstał z ziemi drżący, łkający jak dziecię i pochwycił syna w objęcia...

XVIII.

Obiedwie córki arcykapłana siedziały w komnacie Klaudyi, którą właścicielka urządziła z prostotą i wytwornym gustem; gromadząc wszystko, co było jej potrzebnem i miłym. Tu na czerwonej wstędze wisiała gitara, poewierica marzeń dziewczyczych, w szkatułkach ze skoniowej kości ułożone jedne na drugich leżały dzieła ulubionych pisarzy Klaudyi, rzymskich, greckich, Homera, Sofoklesa, ody poetki Safony. We framudze pomalowanej promiennie-purpurowym kolorem, stało marmurowe popiersie Jowisza, według znanego w całym świecie arcydzieła rzeźbiarza Fidyasza, a pośród posążków, z pararyjskiego marmuru, pośród czar i wazonów ze złota i kryształu, znajdowało się srebrne wrzeciono, maleńki warstacik tkacki i mnóstwo tych przeróżnych cacek, jakimi podczas saturnalii młodzież zwykła obdarowywać się nawzajem, z każdej zaś drobnostki można było poznać, że śliczną tę komnatkę zamieszkiwało wesołe i szczęśliwe dziewczę.

Dziś jednak wesołość pierzchła stąd, niby spłoszone przez burzę ptasze.

Lucylla i Klaudya siedziały zgnębione i milczące, tylko Baucis'a nie troszcząc się bynajmniej, czy jest słuchaną lub nie, mówiła rozwlekle naprzemian, to o różnych ogrodach w Pestum, to znów o wiecznemi lodowiskami pokrytej wyspie *Vhuli*, którą uważano za punkt najdalej na północ posunięty, nieznanej podówczas ziemi.

— Ach! Baucis'o, jakżeś ty nieznośna, z tem swoim gadulstwem — przerwała wreszcie Lucylla — mnie głowa i serce pekają z niepokoju o Kwintusa, a ty już najmniej sto razy powtarzasz ciągle jedno i toż samo!

— Wszzechmogąca Izydo! — krzyknęła niewolnica — najlaskawsza bogini, jeśli to prawda, odbierz mi mowę.

— Już Izyda zagniewana widocznie na ciebie odebrała ci pamięć, nie wyzywaj przeto większego jęj gniewu.

— Ach! ty mała jaszczurko! jakże ty umiesz kąsać swojemi ząbkami!... A ząbki masz białe i śliczne niby perłki i niktby nie przypuszczał, że tak jadowicie niemi ranisz biedną, starą Baucisę!...

W trakcie tych utyskiwań staruszki, zawołano dziewczętą na obiad do triclinium, gdzie cała rodzina była już zebrana. Wiedziały o nieszczęściu jakie Kwintusowi groziło, przecież posłuszne woli arcykapłana, nieypytywały młodzieńca i o jego uwięzieniu podczas posiłku nie mówiono wcale. Męczeński to był dzień, który Kwintus przepędził w ojcowskim domu. Arcykapłan raz po raz przychodził mu dziękować za jego synowskie posłuszeństwo i upewnić go, że serce ojcowskie przebacza wszystko, ach! wszystko przebacza ukochanemu dziecieniu...

Kwintus na te tkiwie słowa odpowiadał tylko westchnieniami i ponurem milczeniem. Tytus Klaudyusz w tem usposobieniu widział tylko skruczę za czyn popełniony i był pewien, że samotność i sen uspokoją wzburzony umysł Kwintusa. Mylił się jednak. Młodzieniec nie mógł zasnąć, ciągle widząc przed sobą promienną, boleściwą postać Chrystusa, w którego wierzył tak niedawno, którego kochał tak gorąco, a którego przecież odstąpił... Zdawało się Kwintusowi, że jakiś głos szepce mu ciągle: „Nie masz prawa zbawienia swęj duszy poświęcać, aby oszczędzić ojcu boleści, któraby może i jego do poznania prawdziwego Boga doprowadziła“. I zdawało mu się nagle, że pokój cały napełnił się światłem wielkiem, a w tym blasku promienistym Jezus zbliżył się do niego, położył mu rękę na czole, mówiąc:

— Bądź odważnym Kwintusie! bądź odważnym! z moją pomocą można znieść wszystko! wszystko! wszystko!

Kwintus upadł na kolana wyciągając ramiona ku tęg jasnej postaci, która niknęła z wolna... Weszli tymczasem niewolnicy, aby młodzieńca wedle rozkazów Tytusa Klaudyusza ubierać w najwspanialsze szaty.

Słońce wyrzało właśnie z poza Eskwilińskiego pagórka, kiedy arcykapłan i Kwintus wyszli z domu z licznym orszakiem klientów i przyjaciół, także świątecznie ubranych. Kwintus miał być uwolnionym od zarzutu należenia do Nazaretanizmu, gdy złoży ofiarę Jowiszowi.

— Prędzj! prędzj mój synu! czemu się ociągasz? — mówił Tytus Klaudyusz do młodzieńca, wstępując z nim po szerokich, marmurowych wschodach wiodących do Kapitolu.

Weszli do świątyni. Tłum ludu napełniał ogromną przestrzeń, gdzie ołtarz Jowisza stał ozdobiony święconemi ziołami, oraz kosztownemi klejnotami i wstęgami.

Herold nakazał tłumowi milczenie, szmery głosów ucichły. Dwaj słudzy świątyni przyprowadzili uwieńczone kwiatami bydłeta, przeznaczone na ofiary. Trzeci sługa, mięszał z wodą zdrojową, kadzidłem i zbożem, wino mające służyć do święcenia ofiarnych bydła przed ich zabiciem. Arcykapłan stanął przed ołtarzem i wznosząc ręce do góry, silnym, po całej świątyni rozlegającym się głosem zawołał:

— „Jowiszu! ty najlepszy i najpotężniejszy! czuwaj nad Romą, którą uczyniłeś silną i wielką!“

— Czuwaj nad Romą, którą uczyniłeś silną i wielką — chórem powtórzył tłum. Usta Kwintusa zlekka zaledwie poruszyły się cichym szepem:

— Gromami twego gniewu, o! najpotężniejszy! zdruzgocz wszystkich wrogów rzymskiego państwa! — znów Jowisza błagał arcykapłan.

— Gromami twego gniewu o! najpotężniejszy, zdruzgocz wszystkich wrogów rzymskiego państwa! — chórem powtórzyli obecni.

— Niechaj pioruny twoje w szczególności dosięgną wszystkich należących do sekty Nazareńczyków! — wołał arcykapłan.

— Nie! — gromkim głosem krzyknął Kwintus — tego złorzeczenia usta moje nie wyrzekną nigdy. Jestem Nazareńczykiem, wyznaję Chrystusa, pragnę nim pozostać i pozostać do śmierci!

— Synu mój! synu mój! cóżes ty uczynił! — wyszepta arcykapłan padając zemdlony u stóp Jowiszowego ołtarza. Tłum ludu cisnął się naprzód, grożąc Kwintusowi i wzywając pomsty niebios na jego głowę.

Zaledwie Norbanus przywódca pretoriańskiej straży zdołał uspokoić wzburzony lud, przyrzekając że Kwintus Klaudyusz natychmiast zostanie odprowadzony do więzienia.

XIX.

W domu Klaudyuszów najcięższy smutek panował. Arcykapłan spełniał obowiązki swego urzędu, imienia Kwintusa, nie wymawiając nigdy; wszelako wszyscy wiedzieli że myśl o synu i troska o jego los nie opuszcza go nawet na chwilę. Oktawia i dziewczęta tonęły we łzach, Baucis'a najczęściej skulona przesiadywała po kątach, powtarzając jakieś wyrazy bez związku, a zaczerwienione i nabrękle oczy staruszki, wskazywały że i ona także roniła łzy nad niedolą swoich państwa. Niebawem po powtórne uwięzieniu Kwintusa, rozeszła się po mieście wieść, że siostrzenica Cynny, Kornelia sama uwiadomiła prefekta, jako za przykładem swego narzeczonego Kwintusa Klaudyusza przystała do związku Nazareńczyków i przyjęła chrzest, a prefekt rozumnie się, potem zeznaniu kazał ją zamknąć w lochu mamertyńskiego więzienia.

Skoro ta wieść została sprawdzoną, Tytus Klaudyusz natychmiast udał się do pałacu cesarza.

Domicjan tylko co powstał z łoża, gdy do jego sypialni wszedł Jowiszowy arcykapłan, z tytułu swojego urzędu mający przywilej wchodzenia, o każdej porze do komnat imperatora i rozmawiania z nim bez świadków.

Cesarz kilka kroków postąpił ku arcykapłanowi, witając go starodawną formą uprzejmości: pocałunkiem w policzek.

— Cóż tam nowego drogi Tytusie Klaudyuszu? — zapytał.

— Panie — odpowiedział arcykapłan — przybywam prosić cię o łaskę. — Nie wiem czy ci już doniesiono?... czy wiesz, że naręczona mego syna...

— Zbrodnia, siostrzenicy Korneliusza Cynny jest mi już znana — przerwał Domicjan. — Ubolewam bardzo nad tem nowem nieszczęściem, które cię dotyka mój przyjacielu, przecież... wszak sam to rozumiesz, nie powinniśmy lekceważyć świeżo wydanych edyktów, przeciwko sekcje Nazareńczyków.

— Ja tego nie żądam, panie... Tylko gotów jestem przysiąc, że Kornelia jedynie z miłości dla narzeczonego udaje, jakoby była Nazaretanką. Przyszedłem więc błagać cię, o panie, abyś ją z mamertyńskiego więzienia rozkazał przenieść gdzieindziej. Ona jest wątła i delikatna, o! panie, rozkaż z nią obchodzić się jak z chorą, a nie jak z występłą.

— Na to zgoda — rzekł Domicjan. — Skoro tak zasłużony ojczyźnie mąż, jak ty, Klaudyuszu, życzenia swoje objawia, imperator chętnie się do nich przychyli, gdy może te życzenia pogodzić ze swemi obowiązkami i zasadami. Dobrze więc! Narażając się nawet na posądzenie o stronność, każę tę dziewczę trzymać w naszym pałacu pod strażą. Znajdzie tu wygodę i wszystko do czego nawykła. Nie wolno jęj tylko będzie pod żadnym warunkiem opuścić wyznaczonych jęj komnat.

(d. c. n.)

Ze wspomnień starszego brata.

spisał K. J. R. O.

(Dalszy ciąg).

Odpowiedziałem że nie było żadnego, bo Salomon żył przecież na tysiąc lat przed Chrystusem i naszą erą, ale żał mi było Frania, który pod groźnym wzrokiem pana Basiewicza zaczerwienił się jak ćwikłowy burak. Innym znów ra-

zem ks. proboszcz musiał nas sądzić w bardzo ważnej sprawie. Zdarzyło się kiedyś, iż panna Tekla zrobiwszy dziesięć przewybornych gomółek, będących owocem długich jej starań i praktyki, ułożyła je starannie na deszczulce i chcąc by obeschły należycie na słońcu, nie wystawione na pokusę kotom ani kurom, umieściła je za pomocą chłopaka, wysoko na dachu oficyny. Powracając właśnie od żniwa przed obiadem, dostrzegliśmy je zdala pomimo tej przezorności, i przyszła nam nagle taka ochota zjedzenia choć jednej, iż nie namyślając się długo, stanęliśmy u stóp wspartej o dach drabiny ze złowieszczymi zamiarami.

— Który pójdzie? zapytałem jako najstarszy i dowódca wielkich wypraw, wskazując oczami szczyt dachu.

— Jabym poszedł ale się boję panny Tekli — zawyrokował Marcinek, kuzynek mój, który straciwszy matkę chował się i uczył z nami wraz z młodszym swym bratem Samusiem.

— A i ja się boję, bo ona zaraz poskarży przed panem Basiewiczem — dodał Władzio.

— A naturalnie! My także nie pójdziemy — zawtórowała mu reszta.

Jeden Franio nic jakoś nie mówił, co zauważywszy wszyscy zawołaliśmy do niego:

— Leż ty Franiu, i pokaż żeś najodważniejszy!

— Ba — odparł tenże — jabym poszedł, ale nie powiecie potem nikomu?

— Nie powiemy, nie bój się, żaden ani piśnie choćby się kto pytał, bądź pewny!..

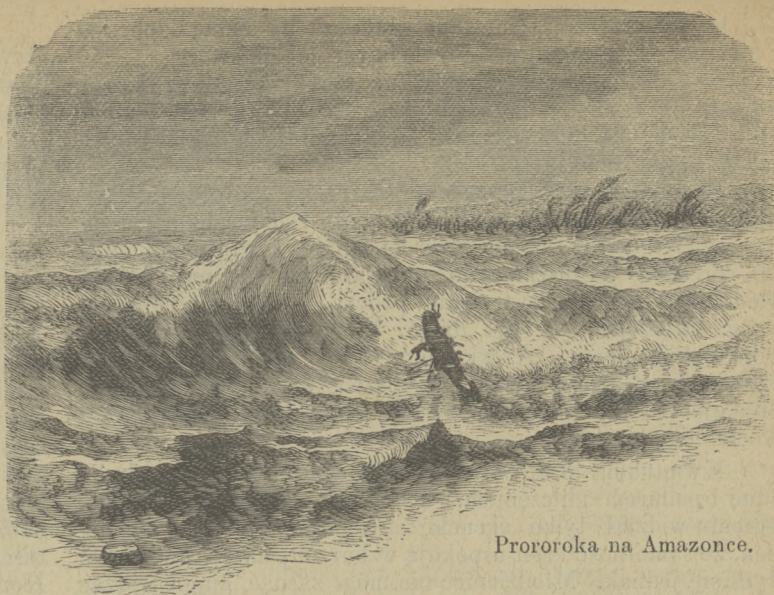
Usłyszawszy to zapewnienie w jednej chwili mój bracieczek był już na dachu. Jedną ręką porwał pierwszą z brzo-ga gomółkę, zszedł i stanął wśród nas ze zdobyczą drażniącą powonienie swoim przyjemnym kminkowym zapachem. Była dość duża, podzielił ją zatem sumiennie na sześć części i w oka mgnieniu znikła. Jużesmy dawno zapomnieli o całej tej wyprawie, aż tu pewnego dnia napada na nas jak huragan panna Tekla.

— Ach wy łakomczuchy — woła zaperzona — takie miałam śliczne dziesięć gomółek i jużescie musieli wypatrzyć i jedną złapać! A pfe! szkodniki! I który to taki grzeczny, chciałabym też wiedzieć? Proszę mi się zaraz przyznać bo inaczej powiem natychmiast księdzu proboszczowi. — Spojrzeliśmy po sobie i zacisnęły zęby, a chcąc uniknąć dalszego badania umknęliśmy czempredzej do ogrodu.

Na drugi dzień jeździłem z p. Basiewiczem w sąsiedztwo gdzie byli chłopcy w moim wieku; powróciwszy tylko co zeskoczyłem z bryczki, kiedy bracia obstąpiwszy mnie zaczęli mi opowiadać jak ta niegodziwa panna Tekla poskarżyła się na nas przy kawie i jak ks. proboszcz po długich badaniach przemówiwszy wreszcie do ich rozumu, a głównie sumienia wyciągnął z nich całą tajemnicę porwania z dachu gomółki.

Franio do łez wzruszony oracyą pełną przykładów i napomnień, przyznał się wreszcie do winy z wielką skruchą, ale i reszta idąc za jego przykładem nie utuliła, iż zrobił to za ich namową. Byłem uszczęśliwiony że się przy owem śledztwie obyło bezemnie, i że nie potrzebo-wałem się także wstydzić, lecz nie przeczuwałem że nim upłynie kilka dni i ja również będę musiał stanąć przed tym kochanym choć surowym sędzią i to w sprawie nierównie ważniejszej, w której weźnę udział głównego winowajcy...

Było to tak. Muszę najpierw nadmienić, iż do całej tej katastrofy przyczyniło się jedno niezmierniej wagi odkrycie, a mianowicie, że szanowny nasz mentor pan Basiewicz, pomimo całej swjej powagi i artystycznego zaniedbania około siebie, zwykłego niby ludziom wyższej nauki, nosi... rzecz tak prozaiczną, jak perukę! Tak, naprawdę, perukę!... Wieść ta jak grom uderzyła w nas wszystkich, sprawiając jak największe wrażenie — i obserwując go odtąd nieustannie, nie mogliśmy się wydziwić jak można było do tego czasu nie zauważyć tego, co przecież było jasne jak słońce — bo ciemny las bru-



Proroka na Amazonce.

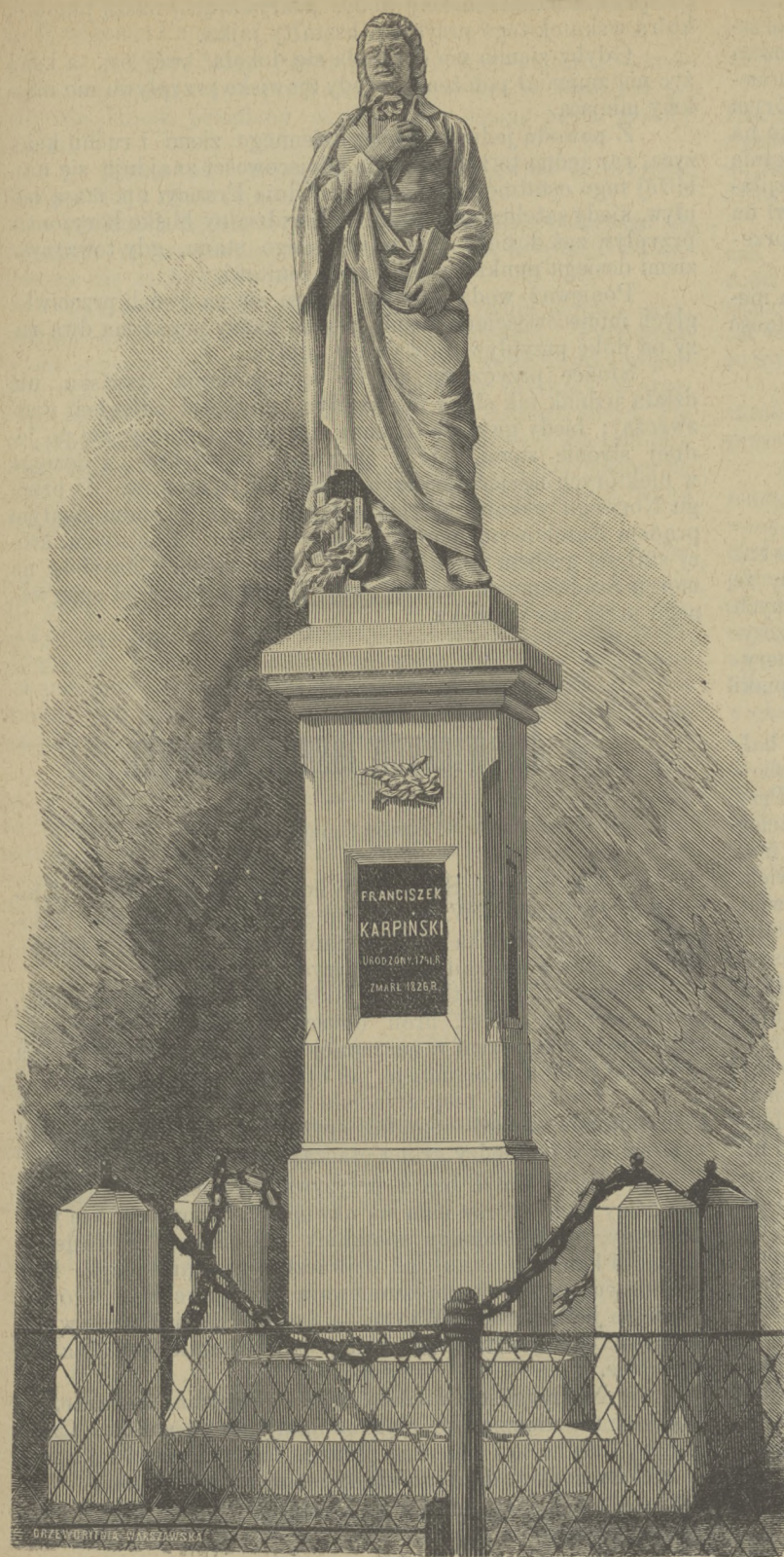
natnych włosów Basia, jak nazywaliśmy go między sobą, nie pasował bynajmniej do szpakowatego zarostu pięćdziesięcioletniego mężczyzny. — Nosi perukę! Nie, zaprawdę, fakt ten przechodził nasze siły, aby wiadomość o nim można było prze-nieść z lodowatym spokojem obojętności. Trzeba go było przecież wyzyskać w jakibądź sposób, nad czem też nie namyślając się długo, zabraliśmy się do dzieła. I oto cośmy na-koniec wymyślili nałamawszy wspólnie głowy nad conceptem.

Codziennie, od godziny 9-tej rano do 12-tej, a następnie przez trzy godziny po obiedzie odbywaliśmy my starsi t. j. Marcinek, Januś, Franio i ja lekcye z Basiem w przeznacz-o-



Fale przyływu w ujściu Garonny.

nym osobnym na ten cel pokoju na górze. Pokój był urządzo-ny jak prawdziwa szkoła. Prócz więc na ścianach rozwie-szonych map geograficznych i rysunków do nauk przyrodni-czych, stał pośrodku duży czworokątny stół czarny, ze czterema szufladami przeznaczonemi dla nas na książki, do koła niego drewniane taborety, a nad nim uzupełniał pustkę wbity w suficie hak do nie zawieszonj lampy, który mając kształt znaku zapytania, przywoził nam niejedno-krotnie na pamięć — gdy nie umiejąc lekcyi podnosiłmy tego wzrok do góry szukając natchnienia — znikomości tego świata. Otóż przez ten niewinny z'pozoru haczyk, dostaw-szy się w wolnych od lekcyi godzinach do szkolnego pokoju, przeprowadziliśmy cieniutką nitkę z włosów przymocowa-



Pomnik Franciszka Karpińskiego.

szy poprzednio do jednego z jej końców haczyk od wędki, drugi zaś koniec przesunięty przez wywierconą świderkiem dziurkę w pośrodku stołu spuściliśmy ku ziemi.

Tak urządziwszy przesunęliśmy nieco stół w ten sposób aby krzesło pana Basiewicza znajdowało się tuż pod spuszczonego zabójczem dla ryb narzędziem, i w pierwszej godzinie historii powszechniej wprowadziliśmy w ruch maszynę. Właśnie rozwodził się Basio z wielkiem zajęciem, nad zwycięstwami Karola Martel'a pod Tours i Poitiers w wojnie z Arabami

732-go roku, kiedy zwolna spuszczone i leciuchno uwikłany we włosach haczyk został nagle szarpnięty w górę unosząc z sobą w przestrzeń ciemną perukę p. profesora...

Jakby tknięty elektryczną siłą skoczył na krzesło, ręką machnął nad głową, na której widoczną się stała łysina...

Błędem od gniewu okiem powiódł po nas. Dotąd siedzieliśmy jak trusie z rękami ukrytymi pod stołem tak jak to było przykazanem, i w tej chwili dopiero udając największą trwogę i zdziwienie.

— Jezus Marya! Pan skalpowany! — krzyknęliśmy nagle.

Zrazu gniew nie pozwolił mu przemówić, potem uderzył pięścią o stół tak, aż wszystkie książki i kałamarz podskoczyły na nim, i krzyknął chrapliwym, zmienionym głosem:

— Który z was śmiał zrobić coś podobnego!

Milczeliśmy. — Wtedy poskoczył do nas chcąc zbadać czy który nie trzyma w ręku nitki, lecz poszukiwania okazały się bezskuteczne. Byliśmy na tyle przewidującymi, że nitka przechodząc przez środek blatu, pod stołem dopiero przywiązana była do mojej nogi, tak aby ją w każdej chwili można było zerwać, co też natychmiast uczyniłem. Krótki wzrok nie pozwolił mu jej dostrzedz i zdawało nam się że jesteśmy ocaleni. Ale złudzenie trwało krótko, Basio poskoczył do drzwi i krzyknąwszy: Czekaście! powiem ja o tem księdzu proboszczowi! wleciał do sieni, zakręcił za sobą klucz w zamku i przebiegłszy schody jednym krokiem zniknął na dole. Wówczas dopiero zrobiło nam się jakoś niejako przed oczyma.

Zostaliśmy niby wszyscy złapani w pułapkę na gorącym uczynku, bez żadnego sposobu ratunku, bo choć pierwszą naszą myślą było uciekać przez okno, wysokość piętra wydała nam się jednak ryzykowną.

— Basio tam grzmi pewnie jak Jowisz na dole — zawołałem z uśmiechem starając się nie tracić rezonu, ale nie na wiele się to przydało bo wszyscy z bijącym sercem wyczekiwaliśmy niemiłych skutków nierozsądnego żartu. Aż wreszcie dały się słyszeć kroki na schodach, klucz zgrzytnął w zamku i w otworzonych drzwiach stanęła wyniosła postać... księdza proboszcza.

Miał surowy wyraz twarzy ale widocznie prócz tego, iż zaszło coś ważnego, szczegółów nie słyszał jeszcze, bo dopiero przy nas pan Basiewicz z rumieńcem oburzenia opowiedział całą przygodę. Uważaliśmy doskonale, że kiedy zagniewany nasz mentor wskazał mu komicznie rozbujany jeszcze w górze dowód przestępstwa przygryzł wargę aby się nie uśmiechnąć. Wnet przecież, przybrał srogi wyraz dawniejszy i zwróciwszy się do nas, od słów łagodnych niby, choć stanowczych rozpoczął „Pater noster”. — Mówił wolno, poważnie, nie pomijając wymienienie szeregu zasług i tych ciężkich starań jakie nauczyciel poświęca swym wychowankom, i jego pragnień rozniecienia w tych dziecińczych, nierozwiniętych umysłach, owego szlachetnego ognia zamięłowania ku wiedzy — dalej o wdzięcz-

ności jaką powinniśmy odczuwać w sercu za te ciężkie trudy i usiłowania zawsze jak najlepsze.

Z początku słuchaliśmy tej przemowy jednym uchem, w końcu wszakże serca zaczęły nam mięknąć powoli; a kiedy jeszcze ks. proboszcz, uściśkawszy nas serdecznie i prosząc byśmy chcieli zrozumieć to co mówił — chciał by się przyznać i przeprosić pana Basiewicza, zawołaliśmy chórem: „Wszyscyśmy jednakowo winni!” i wszyscy ze szczerem już żalem pobiegliśmy wypełnić jego wolę.

) Do mnie jednak, jako do najstarszego miał najwięcej żalu za to, że pozwolił młodszemu na podobnie przykry figiel i jako pokutę naznaczył mi najpierw przyrzec poprawę przepraszając raz jeszcze Basia publicznie przy kolacyi, poczem szepnął mi już do ucha, aby na zatarcie przykrego wspomnienia zrobić dla niego kałamarysz laubzegową robotą, którym się tak zachwycał widząc podobny, zrobiony przezemnie na upominek dla stryjaczki. Naturalnie przestąpiłem na to chętnie ale co wstydu i żalu to niemało przeszedłem a nawet rozplakałem się na dobre, rzucając się przy herbacie Basiowi na szyję, ale pocziwiec, był wzruszony niemniej odemnie, i przebaczył mi z całego serca.

— Życie jest rzeczą tak prostą! — mawiał nam nieraz kończąc jakie napomnienie ks. proboszcz — mieć ufność w Bogu, kochać do brych i unikać złych — oto wszystko!...

(d. c. n.)

PRZYPIŁY I ODPIŁY MORZA.

Mieszkaniec wnętrza stałego lądu, znalazłszy się po raz pierwszy na brzegu morskim, spostrzega z podziwieniem, że wody oceanu opadają to znów wzbierają w pewnych równych odstępach czasu; odbywa się to stopniowo; niskie piaszczyste wybrzeża wynurzają się zaś, fale uciekają het, ku horyzontowi; na obnażonem dnie pozostają rozmaite skorupiaki i ryby, a nierzadko i mniejsze statki.

W sześć godzin i minut kilkanaście morze wraca; bałwany, pędzone jakąś tajemniczą siłą, toczą się z szumem, obejmując w posiadanie opuszczone niedawno przestrzenie. Przy stromych brzegach zjawisko to odbywa się niepostrzeżenie prawie: zwierciadło oceanu wznosi się wolno; zupełnie inaczej wszakże ma się rzecz przy ujściu rzeki jakiegokolwiek. Przypływ bowiem musi zwalczać prąd tej ostatniej; rzuca więc gniewnie swe wały w koryto rzeczne, usiłując odeprzeć wody, tamujące mu drogę i wdzierają się gwałtem na swe stanowisko.

Walka taka, wznoszącego się oceanu z wodami wielkich strumieni, przedstawia w niektórych miejscowościach imponujące widowisko. Najwspanialej odbywa się ono przy ujściu olbrzymiej Amazsonki, płynącej w Ameryce Południowej. Krajowcy nadali mu miano *proroczek*, naśladujące brzmieniem grzmot jaki czynią fale oceanu Atlantyckiego, odpierając masy słodkich wód rzeki. Ogłos ten chrapliwy i straszny słychać na kilka mil dokoła; bałwany zwyciężkie prą z szaloną gwałtownością na ląd, łamiąc i gruchocąc wszystko, co się znajdzie na ich drodze; biada nieroztropnemu statkowi, co nie uszedł na głębokie morze przed przypływem; zostanie bowiem zmiażdżony o rafa, lub rozbity na ławicy. Prąd powstały wskutek wznoszenia się oceanu, sięga na kilkanaście wiorst w głąb lądu, aż do lasów, otaczających rzekę.

Takie samo zjawisko, daleko jednak słabięj, ma miejsce przy ujściu Garonny we Francyi i innych rzek wpadających wprost do oceanu.

Na rysunkach załączonych widzimy do jakiej potęgi mogą dojść bałwany przypływu w powyższych warunkach; nieraz sprawiają one wrażenie burzy, bez huraganu.

Trzej rybacy zaskoczeni znienacka przez nie, pospiesznie szukają ocalenia na brzegu.

Przypływ nie wszędzie jest jednakowo silnym; najbardziej daje się uczuć przy otwartym oceanie, gdzie nie ma wysp w pobliżu brzegu, a także podczas nowiu księżyca. Morza zamknięte, jak np. Czarne, Azowskie, Kaspijskie lub Czerwone, prawie wcale nie znają tego ciekawego zjawiska.

Uczeni dowiedli, że przypływ i odpływ oceanu ma za przyczynę przyciąganie księżyca i słońca.

Wiadomo, iż każde ciało niebieskie posiada siłę przyciągającą; dzięki tej sile ziemia nasza utrzymuje na swej powierzchni, wszystkie leżące na niej przedmioty i nadaje im ciężar. Zupełnie tak samo jednak działa i księżyc; tylko że będąc mniejszym od ziemi i bardzo oddalonym nie ma takiej

siły przyciągania, co ta ostatnia. Pomimo to atrakcja *) jego sprawia wznoszenie się wody, pokrywającą naszą planetę, która wskutek tego przybiera kształty jajka.

Gdyby ziemia nie obracała się dokoła swęj osi, a księżyc nie zmieniał położenia, wtedy zjawisko przypływu nie miało by miejsca.

Z powodu jednak obrotu dziennego ziemi i ruchu księżyca, raz jedno to znów drugie miejscowości znajdują się najbliżej tego ostatniego; brzegi zachodnie Francyi np. mają odpływ, kiedy satelita nasz jest z nich widzialny blisko horyzontu, przypływ zaś dosięga tam najwyższego stanu, gdy towarzyszy ziemi dosięga punktu najbliższego zenitowi.

Ponieważ woda oceanu wznosi się na dwóch przeciwnych miejscowościach ziemi, przeto każdy punkt ma dwa razy na dobę przypływ, i dwa razy odpływ.

Słońce przyczynia się do spotęgowania zjawiska, nie działa jednak tak silnie jak księżyc, gdyż jest odległym nadzwyczaj; kiedy gwiazda dzienna i księżyc znajdują się po jednej stronie ziemi, wtedy przypływ największy, i dosięga w niektórych miejscowościach wysokości 16 metrów. U brzegu Norwegii wskutek starcia przypływu z olbrzymim ciepłym prądem Zatokowym powstaje straszny wir: Maelstrom, który stał się grobem wielu okrętów. Historyczna Charybda na morzu Śródziemnem bierze swój początek także od opisywanego przez nas zjawiska.

Wł. U.

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

— Złoty-Motyl Szaremu-Wilczęciu śle poselstwo! Złoty-Motyl o Szarego-Wilczęcia opiekę prosić przysła. Złoty-Motyl królewiczka szukać nam każe! Za wolą Złotego-Motyła z przewodnikami aż tu przyszliśmy.

Słowa te poskutkowały jakby cudem. Lakondonowie, do napaści już gotowi, broń opuścili ku ziemi, Czarne-Sępy tylko nie rozchmurzeni w zaczepnej wciąż trwali postawie. Na tę chwilę jednak zażęganem już było niebezpieczeństwo.

— Dlaczegoż nieprzyjaciele nasi Bładym-twarzom za przewodników służą? — nieufnie spytał Szare-Wilczę, naprzód występując z pomiędzy grona otaczających go wojowników.

— Złoty-Motyl brata przyzywa ku sobie czempredżę, wzięliśmy tych, którzy nam się nawinęli najpierwsi. Nie wiedzieliśmy, że Lakondonów spotkamy — tłumaczył p. Tadeusz łamiąc i kalecząc i tak już dziwacznie złamany język, którym się europejczycy porozumiewają z krajowcami. Tłumaczenie to jednak Szare-Wilczę — *Szary-Wilk* już teraz w całej pełni dostojeństwa naczelnego — widocznie uznał za dostateczne.

— Nie mogliście wiedzieć tego — przyznał łaskawie. — Samiśmy nie wiedzieli że ciągnąć nam tedy wypadnie. Czarne-Sępy dzielne to i waleczne plemię, lecz na żerowiska nasze od wieków godzą i dla tego zgody niema pomiędzy nami.

— Niema zgody! — przywóztórzyli Czarne-Sępy, zdławionym głosem.

— Zgodę zrobić nie trudno — odezwał się p. Walery. — Rozjemcą będę pomiędzy wami, bo jednym i drugim sprzyjam, w jednych i w drugich mam wiernych sprzymierzeńców. Czarne-Sępy mnie prowadzą, z Szaremi-Wilkami iść gotów jestem. Jedni i drudzy waleczni są i dzielni.

Obie strony zmierzły się wejrzeniem nawzajem: spojrzenia ich wyrażały zadowolenie i dumę, jaką im sprawiały pochwały p. Walerego.

— Niech więc bracia moi broń złożą i walki się wyrzekną na czas, który tu ze mną spędzą. Szare-Wilczę sprzyja Złotemu-Motylowi.

*) Siła ciążenia.

— Tak! — dobitnie potwierdził młody naczelnik.

— Czarne-Sępy z królewiczkiem za jedno...

— Tak! — również dobitnem potwierdzeniem przerwał p. Waleremu Paquès.

— A Złoty Motyl i królewiczek to brat i siostra — kończył dowodzenie swoje p. Walery. Dowodzenie choć proste, odniosło jednak pożądany skutek, obie strony broń puściły z ręki,

— Niech tak będzie, jak chce Błada-Twarz — przystał Szary-Wilk z godnością.

— Niech będzie — przywodził Paquès, ociągając się z daniem przyrzeczenia o tyle tylko, o ile to uważał za konieczne dla zachowania swojej godności.

Tak więc Blade-Twarze zażegnały swoją powagą spór, mogący wynikać z zastarzałej waśni plemiennej. Przeciwnicy zmienieni chwilowo w sprzymierzeńców, zasiedli przy wspólnem ognisku, długo jednak jeszcze groźnie błyskały spojrzenia, jakie ci i owi rzucali na siebie. Aż dopiero gdy p. Tadeusz rozpoczął z Szarem-Wilczkiem rozmowę o Złotym-Motylu, młody naczelnik plemienia zapomniał o wszystkim innem i z ciekawością słuchał opowiadania, które prostą drogą doprowadziło — do rozmowy o Józju.

Tego właśnie chcieli obaj panowie. Znając krajowców, wiedzieli doskonale, że zgubili by się raz na zawsze w ich opinii, gdyby się który z nich zdradził z ciekawością o los Józia. Indyjanin nigdy nie pyta: ciekawość naszą, europejską, wyrażającą się pytaniami, uważa za rzecz niegodną wojownika i nierzaz zauważono, że wtedy nawet, gdy o śmierć lub życie chodzi, gdy jednym pytaniem rozstrzygnąć może dręczącą go wątpliwość, on się od pytania powstrzyma.

Trzeba więc było zastosować się do obyczaju miejscowego i nie wymówić słów, które się same cisnęły na usta, bo naturalną zdawało się rzeczą, że Lakondonowie nieustannie, we wszystkich kierunkach przerzynający puszcze, muszą coś wiedzieć o Patriziosach. Kto wie, może nawet spotkali się z nimi? Przypuszczenie to zdawało się tem prawdopodobniejszym, że Józjowi towarzyszył przecie Benito. Syn puszczy, znający obyczaje jej mieszkańców, poznać mógł obecność Lakondonów po jakimś drobnym szczególe, nic dla Europejczyka nie znaczącym, i z cechującą go przytomnością umysłu skorzystał mógł z jednej chwili sposobności by dać im wiedzieć o sobie...

Tego rodzaju przypuszczenia i wątpliwości zaprzętały umysł tak ojca, jak i nauczyciela, gdy czyniąc zadość wymaganiom etykiety indyjskiej, bawili gości swoich rozmową, tak nią kierując, aby weszła na tor właściwy.

Aż wreszcie Szare-Wilczę wysłuchawszy wszystkiego, co mu o Luci opowiadano, po długiej chwili milczenia, rzekł głuchym, gardłowym głosem:

— Raduje się serce Lakondonów wiadomością, iż Złoty-Motyl w spokoju przebywa pod dachem matki swojej matki. Podróż przez morze straszniejsza, niżeli droga przez lasy, czyhają bowiem na wędrowca bogi morza co górami bałwanów rzucają i te także co w morskiej huczcie wicherze. Straszna jest droga przez morze...

Wypowiedziawszy to monotonnym, smętnym głosem, znowu milczał młody naczelnik czas jakiś, jakby zastanawiając się nad niebezpieczeństwem, które Luci grozić mogły.

— W kobiecie lekkie mieszka serce — podjął znowu. — Złoty-Motyl strachu użyć musiał niemało... Królewiczki zato dzielne ma serce wojownika i strachu pewno nie zazna, kiedy na morze się pusi...

P. Walery aż głos stracił ze wzruszenia, gdy nagle przydomek Józia posłyszał; odpowiedział za niego p. Tadeusz:

— Uczyliśmy królewiczka od dzieciństwa, że strach nie męską jest sprawą; mniemamy też iż obawy nie dozna, kiedy się na morzu zobaczy. Nie wiemy jednak kiedy to nastąpi, bo królewiczka нема z nami.

I znowu milczenie, którego krótka chwila wydała się ręką całym.

— Wiadomo to Lakondonom — powoli mówił Szare-Wilczę — w mocy Patriziosów jest królewiczek...

— A! więc wiecie o nim! widzieliście go! — wybuchnął nie mogąc dłużej wytrzymać p. Walery, ale młody naczelnik, zdając się nie zważać na tę przerwę, ciągnął dalej powoli:

— Nie na długo w niej jednak pozostanie, bo chociaż Lakondonom nie wojować z tymi, którzy Dzikemu-Kotowi z pomocą stanęli w przygodzie, to przecież wolno nam odebrać im jeńców, jako tego pragnie Benito. Z kapłańskiej on rodziny i wola jego prawem dla nas...

— A! — z głębi piersi odetchnął nareszcie p. Tadeusz, usłyszawszy pomyślną wiadomość i wzrokiem od łez radości zamglonym spojrzał na p. Walerego. Ale ten, tak dotychczas mężny w niedoli, płakał teraz z radości i dla ukrycia łez swoich przed Lakondonomi, odwrócił głowę, udając, że się czemuś przygląda...

Powoli, monotennie, z długimi od czasu do czasu przestankami jał więc opowiadać Szare-Wilczę jakim sposobem przyszedł do wiadomości, że Józia wprowadzili Patrizios.

W chwili, gdy porwawszy z sobą Józia, cofnęli się od bramy *fondy*, rzucił się za nim Benito. Od tej chwili i rabusie, i porwany, i ścigający znikli wszystkim z oczu, ale odważny i wierny Indyjanin puszczając się za swoim „królewiczkiem” miał plan gotowy. Nie mogąc sobie obiecywać, że sam o własnych siłach, nożem tylko i karabinkiem uzbrojony, odbije Józia, liczył jednak na to, że w puszczy, której ostępami przeciągają nieustannie niedobitki plemion indyjskich, napotka przecie takie, które mu nie odmówi pomocy. Na tę pomoc zaś tem większe miał prawo liczyć, że — chociaż oddawna już ochrzczony — pochodził jednak z jrodu kapłanów-czarodziejów i jako posiadający nadprzyrodzoną ich władzę, był przedmiotem zabobonnej prawie czci dla wyznawców stariej wiary. Do takich należeli wprawdzie Lakondonowie, ale dziwnym zbiegiem okoliczności, nie mogli w danej chwili zbrojnie napaść na Patriziosów. Zdarzyło się bowiem niespełna przed rokiem, że Dzik-Kot, odbiwszy się od swego pokolenia z nieliczną garstką wojowników, wpadł w zasadzkę przygotowaną dla nich przez jedno z plemion, prowadzące z Lakondonomi odwieczną, a zążartą wojnę. Byłby zginął w niej ze wszystkimi ludźmi, gdyby nie Patrizios. Ci, oddawna już słysząc o Lakondonach, o ich męstwie, o znaczeniu jakim się cieszą, pragnęli mieć ich po swojej stronie i wypadkiem znalazłszy się na miejscu, gdzie Lakondonowie, zaskoczeni przez dziesięćkroć silniejszego liczbą przeciwnika, rozpaczliwie bronili życia, dopomogli im tak skutecznie, że Dzik-Kot ofiarował im w dowód wdzięczności przysięgę z Lakondonomi na rok cały. Układ ten obowiązywał, ma się rozumieć i Szare-Wilczę, jako naczelnika wyborowego oddziału młodzieży, a że rok jeszcze nie upłynął, nie mogło więc być mowy o zerwaniu przysięgi; wszelkich bowiem umów wojennych uczciwie i wiernie dotrzymywać zwykli Indyjanie tak swoim, jak i Bładym-Twarzom.

Ale że z drugiej strony Benito kapłańskim był synem i czarnoksięskimi rozporządzał siłami, że pamięć dobroci Złotego-Motyła i wyświadczonę przez Blade-Twarze przysługę nie zatarła się w pamięci Szarego-Wilczęcia, więc też hytre i w fortele obfitujące umysły czerwono-skórych wnet znalazły sposób wyminięcia przeszkody. Zbrojnie napaść na Patrizios nie uchodzi, ale chwilowo bezbronnymi ich uczynić to rzecz inna.

Po naradzie więc z Benitem, który dawszy znać o sobie okrzykiem „chachalaka” naprowadził ich na trop przeciągającej bandy Patriziosów, powzięty został zamiar uwolnienia Józia i obmyślony sposób przywiedzenia go do skutku. Jaki to mianowicie sposób, tego z właściwą Indyjanom wstrzemięźliwością słowa nie tłumaczył bliżej Szare-Wilczę...

— Patrizios niedaleko stąd obozują — mówił — Benito ma wszystko co mu trzeba. Jeżeli jutro nie będą mogli ruszyć dalej, to Blade-twarze niedługo Królewiczka zobaczą.

— Dlaczegożby mieli nie móż ruszyć dalej? — spytał p. Tadeusz tak zaciekawiony zagadkowym wyrażeniem się młodego Lakondona, że zupełnie zapomniał iż zapytywać go nie wypada.

— Patrizios nie znają puszczy — z większą jeszcze zagadkowością odpowiedział. — W puszczy wszystko znaleźć można, jeno nie każdy szukać umie. Benito syn puszczy i „wiedzący“ a Królewiczek za dziecko mu stoi... Benito dobrze nam poradził. Nie łamaliśmy przymierza Lakondonów z Patrizios, a przecie Benito nie będzie chodził dłużej tropami Bladych-twarzy, niby pies wietrzący zwierzynę.

(d. c. n.)

Z DALEKA.

W Orenstown wydarzył się niedawno następujący smutny wypadek: Na jeden ze stojących u brzegu statków ładowano transport orzechów kokosowych. Wielu ludzi było przy tem zajętych. Nagle zerwała się gwałtowna burza i statek zerwany z kotwicy, został odrzucony na pełne morze. Na pokładzie zajętych ładowaniem transportu znajdowało się podówczas do stu krajowców. Wskoczyli oni czempredź do łodzi, aby dopłynąć do brzegu. Olbrzymie wszakże bałwany łodzie wywróciły i ludzie znaleźli się w morzu. Byli oni wszyscy dobrymi bardzo pływakami, mogliby więc byli jeszcze się ocalić, gdyby nie nagłe pojawienie się całego stada żarłoczych rekinów, które z zaciekleścią rzuciło się na nich. Wywiązała się straszna walka i zaledwie kilkunastu ludzi zdołało dopłynąć do brzegu, resztę żywcem pożarły rekiny.

Marki pocztowe w niektórych krajach mają wizerunki zwierząt najwięcej w tychże krajach rozpowszechnionych i tak w roku 1851 w Kanadzie zaprowadzono marki z bobrami, których skóra stanowi tamże nader ważny artykuł handlu. Australia zachodnia wydała w roku 1854 po raz pierwszy marki z czarnym łabędziem, bardzo w tamtych okolicach rozpowszechnionym. Newfoundland posiada marki z wizerunkiem stokfisa, mającego do kraju tego w handlu ważne znaczenie, inne marki są tam z wyobrażeniem foki, a inne jeszcze z łbem psa newfoundlandzkiego. Marki peruwiańskie mają lamy. Nowa południowa Walia w r. 1888 na uczczenie setnej rocznicy założenia kolonii, ustanowiła marki szylingowe z kangurem i t. p.

W Brukseli, gdzie podobnie jak w całej Belgii mają wielkie upodobanie do kotów i więcej aniżeli psów chowają ich po domach, odbyła się obecnie międzynarodowa wystawa tych zwierząt, które ściągają liczne tłumy odwiedzających, a mianowicie dzieci. Najwięcej budziły podziwu pozbawione ogonów koty syamskie i z wyspy Man. Podobały się też niezmiernie koty z małpiemi mordkami. Za wielkiego szarego kota tego rodzaju żądano 500 franków, to jest przeszło 200 rubli.

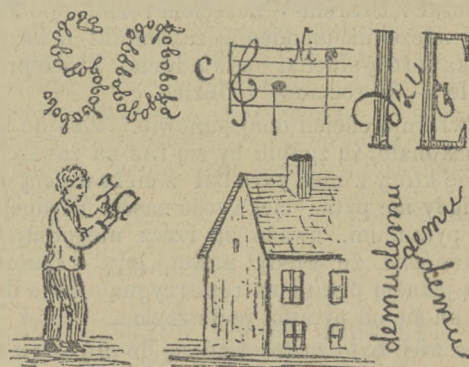
W Ameryce, we Florydzie i Luizyanie, pod surową karą wzbrownionem jest obecnie polowanie na krokodyle; ponieważ z ich skóry wyrabiają nie tylko piękne obuwie, ale nawet różne galanterijne przedmioty handlu, jak np. portmonetki, torby podróżne, pugilaresy i t. p., wytępiono je niezmiernie. Okazało się zaś że ze zmniejszoną ilością krokodyli zwiększyła się ilość samców piźmowców, czyniących wielkie

szkody w zbożu. Nieraz to już zauważono, że w miarę ubytku jakiegoś gatunku żyjących stworów, zjawiają się w niezmierniej ilości inne, zazwyczaj szkodliwe.

SZARADA.

Pierwsze zainkiem jest wskazującym,
Trzecie i pierwsze czasem gorącym;
Pierwsze i trzecie inie zdrobniałe,
Drugie i trzecie wielkie lub małe
Obszary ziemi; nutą trzecia sama
Kaźda ją w sobie zawiera gama.
A druga będzie znów nazwą rzeki,
Która przepływa kraj od nas daleki,
Że wszystko drzewo, to już pewno wiecie,
Boć odgadywać szarady umiecie.

REBUS.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 42-go.

Szarady: Sa — ha — ra.

Wyszło z druku dzieło: SZTUKA I PIĘKNO.

Studia estetyczne p. Henryka Struve.

BŁAWATKI.

Kalendarz dla dzieci od lat 9 do 14 na rok 1892 nakładem księgarni p. Z. Guranowskiego przy ulicy Senatorskiej.

Wyszedł pod powyższym tytułem kalendarz dla dzieci pod redakcją znanego pedagoga H. Wernica i przy współpracownictwie znanych w piśmiennictwie osobistości, których same nazwiska równie jak i nazwisko redaktora są rękojmią wartości tej książki, mogącej stanowić piękny podarek kolendowy. Mieszczą się tu bowiem obok zwykłych kalendarzowych działów, powieści i opowiadania, udatne poezye, zadania do nagrody, zagadki i przeróżne zabawy.

Cena kalendarzyka kop. 50 z przesyłką pocztową kop. 65 dla prenumeratorów zaś „Wieczorów rodzinnych” za okazaniem kwitu prenumeracyjnego w księgarni p. Guranowskiego lub za pośrednictwem Redakcyi kop. 40, z przesyłką zaś pocztową 55 kop.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRZĘŚC: Solec (z drzew.) — Pieśniarz p. Zuzannę Morawską (z drzew.) — Przed lat tysiącem (c. d.) — Ze wspomnień starszego brata spisał K. J. R. O. — Przyptyw i odpływ morza p. Wl. U. (z drzew.) — W dziewiczych lasach Ameryki (c. d.) — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Zarozumiały lisek (z drzew.) — Cukier p. Henryka Wernica. — Godzina rekreacji, obrazek sceniczny w jednej odsłonie p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

WIECZORY RODZINNE.



ZAROZUMIAŁY LISEK.

Był w lesie młody lisek. Niedawno dopiero zaczął sam wychodzić na polowanie, bo dotychczas matka kazała mu pozostawać w norze, lub też sama z nim wychodziła. Lisek był jeszcze mały, ale tak długo napierał się, tak długo prosił matki, aż mu pozwoliła iść na jeden dzień do lasu.

— Zobaczysz mama, jak mi się świetnie uda polowanie — mówił Lisek. — Pokażę ci co umiem.

I poszedł, a przez drogę ułożył sobie cały plan. — Pokażę mamie — myślał — że, przecie coś potrafię, i to potrafię *lepiej jak wszyscy*. Ani myślę tak robić jak mnie mama uczyła, i jak robią wszystkie lisy. Szukać po krzakach zajęcy, co za nudna rzecz, i trudno je pochwycić! Jeże kolą mocno, nie chcę się z nimi zadawać. Owce smaczne, ale po nie trzeba się skradać aż pod wieś do ogrodu, mogą psy napaść!... kury, to taka zwyczajna potrawa! Jadłem ich już dość. Ale ja inne urządzę polowanie: złapię sobie parę małych ptaszków; to dopiero muszą być smaczne! Co to powiadają że je trudno schwycić! już ja znajdę radę!

I wybrał się lisek do gaiku, gdzie ptaszat najwięcej w gałęziach drzew śpiewało. Ostrożnie podczołgał się do drzewa i wpatrzył się w górę.

— Ha, za wysoko to dla mnie — pomyślał — ale to nic, poczekam cierpliwie; przecie muszą one zlecieć na ziemię, żeby sobie znaleźć pożywienie.

Lisek nie wiedział, że ptaszki nie szukają jak kury pożywienia w ziemi, ale żyją głównie owadami chwytanymi w powietrzu.

Czekał więc cierpliwie godzinę, drugą, już mu i głód począł dokuczać, ale czekał daremnie. Jeżeli czasem które ptasze sfrunęło na ziemię, to tylko na chwilę, i zanim Lisek zdołał ruszyć się z miejsca, fruu! już był w powietrzu!

Ale lisek nie tak łatwo dawał sobie wybić z głowy, gdy raz co umyślił; był upartym stworzeniem. Czekał więc trzecią i czwartą godzinę; aż w końcu miał ochotę już wrócić, ale mu było wstyd. Jakże to śmiać się będą z niego! on tak się wychwalał, że dokaże sztuki, której nikt jeszcze nie dokazał, a tu tak mu się nie udało. Przyszedł strasznie głodny. Smutny, położył się pod drzewem, aby przynajmniej odpocząć, gdy wtem posłyszał za sobą ciche stąpanie. Obejrzał się przełknięty, ale jakaż była jego radość, gdy zobaczył swoją matkę.

— Cóż synu, smaczne ptaszki? — zapytała.

Lisek nic nie odrzekł ze wstydu.

— No, chodź ze mną. Czekam na ciebie kawałek tej pospolitej potrawy, kury; ale zdaje mi się, że nią nie pogardzisz?

— Ach, mamu, jakże mi będzie smakował!

— Widzisz dziecko, niech to będzie ci nauczka. Nigdy nie sądzić, żeś mądrzejszy od innych, a zwłaszcza od starszych i doświadczeńszych. Wierz temu, co ci oni mówią, słuchaj ich, a nie doznasz tak przykrych zawodów, jak... dzisiejsze polowanie.

CUKIER.

Istnieje bardzo wiele roślin, z których można otrzymać gęsty słodki syrop, lecz ten nie krystalizuje się, to jest, nie tworzy kryształków cukrowych. Cukier kryształiczny, zwyczajny nasz cukier, wyrabia się z dwóch roślin: trzciny cukrowej i buraków.

Trzcina cukrowa należy do wielkiej rodziny roślin trawiastych, do tej samej do której zaliczone są: żyto, pszenica, jęczmień i zwyczajna trzcina. Wszystkie one posiadają pustą wewnątrz łodygę, złożoną z wyraźnych kolanek. Liście mają bardzo wąskie, cienkie i długie, a kwiaty rozłożone w postaci kłosów. Owoc ich stanowi ziarno mączyste.

Trzcina cukrowa wyróżnia się z pomiędzy roślin trawiastych swą wielkością. Wysokość jej dochodzi do dziesięciu i więcej stóp, a grubość jeden do półtora cala. Składa się z wielu kolanek, wyraźnie oddzielonych od siebie wewnątrz błoną, zewnątrz niewielką obręczką.

Liście, podobne do liści innych trzciny szerokie, ciemnozielonej barwy, tworzą na jej wierzchołku rodzaj wachlarza, ponad którym wznosi się kłosa jedwabista.

Pierwotną ojczyznę trzciny cukrowej są Chiny, oraz Indye wschodnie. W średnich wiekach uprawiano ją w południowych Włoszech i w Hiszpanii. Hiszpanie przenieśli ją na wyspy Kanaryjskie, Maderę i wyspę św. Dominika, skąd dostała się do południowej Ameryki, gdzie obecnie najliczniejsze znajdują się plantacje. Każde kolanko trzciny cukrowej wypełnia słodki sok służący do wyrobu cukru. Zbiór trzciny odbywa się nie po całkowitem jej dojrzaniu, lecz wtedy, kiedy jej sok w największej znajduje się obfitości. Żniwiarze odcinają ją tuż przy ziemi, oddzielają od niej wierzchołek pozbawiony soku cukrowego, usuwają liście z łodygi i miażdżą ją pomiędzy dwoma żelaznymi walcami. Wyciśnięty sok przeprowadza się do obszernych naczyń, warzy z pewną ilością wapna, poczem powtórnie się gotuje, oczyszcza z piany i precedza przez materię wełnianą. W otrzymanym w ten sposób ochłodzonym syropie, wytwarza się wielka ilość kryształów. Jest to tak zwany surowy cukier. Część cukru nie skryształizowana, spływająca przez otwory umieszczone w dnie naczynia, stanowi to co pospolicie zowiemy melasem.

Surowy cukier przewozi się do Europy, raz jeszcze oczyszcza czyli rafinuje w oddzielnych, ku temu celowi urządzonych rafineryach i sprzedaje w postaci znanych głów cukrowych. Z melasu otrzymujemy rum czyli arak, przeważnie używany do ponczu. Z syropu cukrowego wyrabiamy również znany cukier lodowaty, krystalizujący się naokoło nitki umieszczonych w naczyniu. Z cukru wyrabiają jeszcze tak zwany cukier owsiany i karmelki. Sok trzciny cukrowej jest bardzo pożywny, albowiem oprócz cukru mieści w sobie wiele białkowatych substancji. Korzystają z tego plantatorowie amerykańscy i podczas zbioru pozwalają murzynom żniwiarzom posilać się wyssanym z trzciny cukrowej sokiem; konie zaś karmią liśćmi stanowiącymi wyborną paszę. Podczas żniwa leżą na rynkach Rio-Janero, Nowego Orleanu, całe stosy trzciny cukrowej, której sokiem każdy za małą opłatą raczyć się może. Sok wytłoczony, jako pozbawiony najposilniejszych pierwiastków, nie posiada tej pożywności własności.

Na początku XVII wieku cukier był taką rzadkością, iż kupowano go u aptekarzy na uncye, tak jak dziś kupujemy chininę. Z upowszechnieniem się plantacji w Ameryce cena jego znacznemu uległa obniżeniu, a zwyczaj używania kawy, później herbaty, uczyniły go jednym z najważniejszych artykułów gospodarskich.

W roku 1806 Napoleon I zaprowadził tak zwany system kontynentalny, na mocy którego wzbroniono okrętom angielskim przywozić cukier do portów europejskich, w skutek czego cena jego znacznie się podniosła. Wówczas poczęto próbować, czyby z innej rośliny nie udało się otrzymać krystalizowanego cukru; początkowe wszakże próby były bardzo nieudatne. Ilość otrzymanego cukru nie pokrywała kosztów wyrobu. Chcąc pobudzić do nowych badań, Napoleon I naznaczył milion franków nagrody temu, kto wynajdzie lepszy sposób fabrykacji cukru burakowego. Nowe próby po-

myślniejszym uwieńczone zostały skutkiem: otrzymane teraz cztery razy więcej cukru niż z początku. Sposób wyrobu cukru z buraków nie wiele się różni od fabrykacji cukru trzcinowego. Po obmyciu, pokrajaniu i wytłoczeniu buraków, postępuje się z burakowym sokiem tak, jak z sokiem trzciny cukrowej.

Cukier, jak już wspomniano, nie posiada wiele pożywnych części, pomimo tego oprócz do kawy i herbaty, bardzo obszerne ma zastosowanie w gospodarstwie domowym.

Henryk Wernic.

GODZINA REKREACYI.

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNEJ ODSŁONIE

przez

Bronisławę Porawską.

OSOBY.

PANNA ANIELA nauczycielka.

MANIA lat 11

KAZIO lat 10

JADWINIA lat 9

rodzeństwo.

ZUZIA dziewczynka z garderoby lat 12.

(Rzecz dzieje się na wsi).

Pokój zwyczajnie umeblowany, w głębi szafa, stolik, sofa, na przodzie sceny stoją dwa krzesła.

SCENA I-sza.

KAZIO, JADWINIA.

KAZIO (wchodząc na krzesło). Dalej Jadwiniu, wchodź prędko, będziemy skakać,

JADWINIA (wchodzi również na krzesło powoli). Prędko, prędko, lepiej wolno a dobrze.

KAZIO. Baczność! jak powiem trzy! zeskakuj, tylko zgrabnie i prędko, a nie padnij na ręce.

JADWINIA. No, no, nie obawiaj się i zaczynaj.

KAZIO (podnosząc rękę do góry). Raz... dwa... dwa... baczność! i... i... trzy! (zeskakuje z krzesła).

JADWINIA (próbując zeskoczyć, pochyla się parę razy, w końcu prostuje się i staje). Mój Kaziu, zaczynaj jeszcze raz rachować, to krzesło takie wysokie, że aż mię strach bierze...

KAZIO (wchodząc znów na krzesło). Żeby cię aby nie wziął, ach te dziewczęta to takie tchórze, że aż śmiech bierze doprawdy!

JADWINIA. Żeby ciebie aby nie wziął.

KAZIO. Co? żeby mię nie wziął?

JADWINIA. No śmiech, bo cię przecie bierze.

KAZIO (kręcąc głową). Nie wiedziałem żeś taka doccipna.

JADWINIA (śmiejąc się). A widzisz. Lecz mniejsza o to, rachuj raz jeszcze, tylko wolno, mój Kazieczku.

KAZIO. Tylko uważaj i pilnuj się. Raz... dwa...

JADWINIA (za każdym razem przychyła się nieco). Aby nie krzyknij głośno, bo znów nie zeskoczę.

KAZIO (wzruszając ramionami). E, z tobą się bawić niepodobna, a wolno, a nie głośno! cóż to? czy dzieckiem jesteś?

JADWINIA. Tylko mnie dzieckiem nie nazywaj, bo się wcale bawić nie będę.

KAZIO (bardzo wolno i cicho). Raz... dwa... dwa... i... i... trzy! (zsuwa się wolno i ostrożnie z krzesła).

JADWINIA (obrażona). Kiedy sobie żartujesz, baw się sam, jesteś niezdolny. (schodzi ostrożnie z krzesła).

KAZIO. Ja? ja niezdolny? Robię co chcesz i jeszcze się gniewasz!

JADWINIA. Tak, ciągle tylko żartujesz.

KAZIO. No, już nie będę, nie gniewaj się, szkoda czasu, godzina rekreacji minie jak z bicia trzaski, a zamiast zabawy, będą dąsy.

JADWINIA. Więc się bawmy, ale wymyśl coś innego, skakać z krzesła, to wcale nic zabawnego.

KAZIO (zamyślając się). Coby tu wymyśleć... to złe... to nie wesołe... (milczy chwilę) ach! już wiem, urządzimy sobie zabawę wyśmienitą, wybornie!

JADWINIA (ciekawie). Co? co, mój Kazieczku, ja tak lubię wesołe rzeczy!

KAZIO (triumfując). Urządzimy sobie teatr amatorski.

JADWINIA. Teatr? my we dwoje i bez przygotowania?

KAZIO. Właśnie to będzie najzabawniejsze, my sami skomponujemy sobie sztukę (zacierając ręce) wybornie! a to mi wynalazek, ho, ho, nie od kształtu mam głowę na karku.

JADWINIA. A co przedstawimy?

KAZIO. Zaraz, poczekaj, tobie się zdaje że to tak można jedno po drugim wynaleźć, trzeba pomyśleć. (zamyśla się).

JADWINIA. Ale bo widzisz, godzina minie, i panna Aniela zawoła do lekcyi.

KAZIO. Z tą panną Anielą to czyste utrapienie, minuty nigdy nie daruje!

JADWINIA. A widzisz, trzeba się więc spieszyć.

KAZIO. Żeby choć Mania przyszła, ale ona to nigdy poważnie bawić się nie umie, to jest, to jej niema, i teraz pewnie po ogrodzie buja.

JADWINIA. No, no, wymyślaj prędko przedstawienie.

KAZIO (zakłopotany). Może by co z historyi świętej?

JADWINIA. Historya święta dobra, ale nie wesoła.

KAZIO. Czekaj, weźmiemy coś wesołego (myśli) wiem Rebeka przy studni.

JADWINIA. A wielbłądy masz?

KAZIO. Prawda, nie można (myśli, potem wykrzykuje) Dziesięć plag egipskich!

JADWINIA (wzruszając ramionami). A to dopiero wesołe! a zresztą jakbyś to urządził?

KAZIO (zakłopotany). Sądziłem że to będzie łatwiej, ale czekaj, muszę coś wynaleźć (zamyśla się).

JADWINIA. Tylko się spiesz.

KAZIO (radośnie). Wiem! wiem, przedstawimy Estere przed Aswerusem, ty będziesz Estera.

JADWINIA. Estera? ja nie chcę.

KAZIO. Czemu nie? Estera była piękną, i ślicznie wystrojoną.

JADWINIA. A ty czym będziesz?

KAZIO. Królem.

JADWINIA. Królem?

KAZIO. Tak jest, Estera była... czyli będzie moją żoną... Będę więc królem, a ty moją żoną, przyjdiesz uklękniesz...

JADWINIA (przerywając). Nie uklękne. Ja przed tobą klękać nie myślę!

KAZIO. Ale to na żarty, a zresztą ja będę królem.

JADWINIA. Nie chcę, wymyśl coś innego.

SCENA II-ga.

KAZIO, JADWINIA, MANIA.

MANIA (wbiegając, rzuca na stół kapelusz). Szukam was po całym ogrodzie, taki śliczny czas, a wy siedzicie w pokoju.

KAZIO. Ach! dobrze żeś przyszła, już teraz z pewnością nam się uda.

MANIA. Co takiego?

KAZIO. Chcemy urządzić przedstawienie, mamy godzinę rekreacji, zabawilibyśmy się wybornie.

MANIA. Jaki? Przedstawienie amatorskie? Teatr?

KAZIO. A tak, już wymyśliłem, przedstawilibyśmy Esterę przed Aswerusem.

MANIA. Wybornie! ty będziesz królem, ja Esterą, a Jadwinia... Jadwinia...

KAZIO (do Jadwini). A widzisz? Mania sama chce być Esterą, nie musi to być nic złego.

MANIA. E, to tylko w zabawie, bo naprawdę tobym nie chciała być Esterą. Ale, czym zrobimy Jadwinie?

KAZIO. Damą dworu.

MANIA. Pysnie! zabierajmy się żwawo do dzieła (krząta się) ot, tu na tym stole urządzimy tron.

JADWINIA. Ja Esterą nie będę.

MANIA (machnąwszy ręką). Ale będziesz, będziesz, ty nam zawsze chcesz popsuć zabawę.

JADWINIA (kapryśnie). Nie będę... mamusia nawet by nie chciała żebym ja była Esterą.

MANIA. Zdaje ci się, mamusi nie szkodziłoby to wcale, zresztą przecież to tylko zabawa. Będziesz więc damą dworu, przy moim boku, źle ci nie będzie. Dalej, dalej do roboty!

KAZIO. Szkoda, że niema kogo żeby był Mardocheuszem, prawda?

JADWINIA. A kto to Mardocheusz?

KAZIO. Mardocheusz... no, to widzisz... był sobie Mardocheusz (n. s.) dobrze że ja tyle pamiętam, a jeszcze miałbym tam wiedzieć kto, a gdzie? Nudziarka z tej Jadwini.

MANIA. Przeczytasz sobie jutro cały rozdział, a teraz do roboty. Czekajcie, przyniosę kapę z łóżka, okryję stół, to będzie tron. Ale jeszcze na stole postawimy krzesło, to będzie wyżej. (wybiega).

KAZIO (szukając po pokoju). Muszę się ubrać po królewsku.

JADWINIA. Ja się tam nie przebiorę.

MANIA (wracając z kapą). Patrzcie, czerwona kapą, będzie zupełnie jak tron królewski (okrywa stół, stawia potym na stole krzesło, poręcz którego okrywa swym fartuszkem, zdjawszy go z siebie).

Liście, podobne do liści innych trzcin szerokie, ciemnozielonej barwy, tworzą na jej wierzchołku rodzaj wachlarza, ponad którym wznosi się kłosa jedwabista.

Pierwotną ojczyznę trzciny cukrowej są Chiny, oraz Indye wschodnie. W średnich wiekach uprawiano ją w południowych Włoszech i w Hiszpanii. Hiszpanie przenieśli ją na wyspy Kanaryjskie, Maderę i wyspę św. Dominika, skąd dostała się do południowej Ameryki, gdzie obecnie najliczniejsze znajdują się plantacje. Każde kolanko trzciny cukrowej wypełnia słodki sok służący do wyrobu cukru. Zbiór trzciny odbywa się nie po całkowitem jej dojrzewaniu, lecz wtedy, kiedy jej sok w największej znajduje się obfitości. Żniwiarze odcinają ją tuż przy ziemi, oddzielają od niej wierzchołek pozbawiony soku cukrowego, usuwają liście z łodygi i miazdzą ją pomiędzy dwoma żelaznymi walcami. Wyciśnięty sok przeprowadza się do obszernych naczyń, warzy z pewną ilością wapna, poczem powtórnie się gotuje, oczyszcza z piany i precedza przez materję wełnianą. W otrzymanym w ten sposób ochłodzonym syropie, wytwarza się wielka ilość kryształów. Jest to tak zwany surowy cukier. Część cukru nie skryształizowana, spływająca przez otwory umieszczone w dnie naczynia, stanowi to co pospolicie zowiemy melasem.

Surowy cukier przewozi się do Europy, raz jeszcze oczyszcza czyli rafinuje w oddzielnych, ku temu celowi urządzonych rafineryach i sprzedaje w postaci znanych głów cukrowych. Z melasu otrzymujemy rum czyli arak, przeważnie używany do ponczu. Z syropu cukrowego wyrabiamy również znany cukier lodowaty, krystalizujący się naokoło nitek umieszczonych w naczyniu. Z cukru wyrabiają jeszcze tak zwany cukier owsiany i karmelki. Sok trzciny cukrowej jest bardzo pożywny, albowiem oprócz cukru mieści w sobie wiele białkowatych substancyj. Korzystają z tego plantatorowie amerykańscy i podczas zbioru pozwalają murzynom żniwiarzom posilać się wyssanym z trzciny cukrowej sokiem; konie zaś karmią liśćmi stanowiącemi wyborną paszę. Podczas żniwa leżą na rynkach Rio-Janero, Nowego Orleanu, całe stosy trzciny cukrowej, której sokiem każdy za małą opłatą raczyć się może. Sok wytłoczony, jako pozbawiony najposilniejszych pierwiastków, nie posiada tej pożywniej własności.

Na początku XVII wieku cukier był taką rzadkością, iż kupowano go u aptekarzy na uncye, tak jak dziś kupujemy chininę. Z upowszechnieniem się plantacji w Ameryce cena jego znacznemu uległa obniżeniu, a zwyczaj używania kawy, później herbaty, uczyniły go jednym z najważniejszych artykułów gospodarskich.

W roku 1806 Napoleon I zaprowadził tak zwany system kontynentalny, na mocy którego wzbroniono okrętom angielskim przywozić cukier do portów europejskich, w skutek czego cena jego znacznie się podniosła. Wówczas poczęto próbować, czyby z innej rośliny nie udało się otrzymać krystalizowanego cukru; początkowe wszakże próby były bardzo nieudatne. Ilość otrzymanego cukru nie pokrywała kosztów wyrobu. Chcąc pobudzić do nowych badań, Napoleon I naznaczył milion franków nagrody temu, kto wynajdzie lepszy sposób fabrykacji cukru burakowego. Nowe próby po-

myślniejszym uwieńczone zostały skutkiem: otrzymane teraz cztery razy więcej cukru niż z początku. Sposób wyrobu cukru z buraków nie wiele się różni od fabrykacji cukru trzcinowego. Po obmyciu, pokrajaniu i wytłoczeniu buraków, postępuje się z burakowym sokiem tak, jak z sokiem trzciny cukrowej.

Cukier, jak już wspomniano, nie posiada wiele pożywnych części, pomimo tego oprócz do kawy i herbaty, bardzo obszerne ma zastosowanie w gospodarstwie domowym.

Henryk Wernic.

GODZINA REKREACYI.

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNEJ ODSŁONIE

przez

Bronisławę Porawską.

OSOBY.

PANNA ANIELA nauczycielka.

MANIA lat 11

KAZIO lat 10

JADWINIA lat 9

} rodzeństwo.

ZUZIA dziewczynka z garderoby lat 12.

(Rzecz dzieje się na wsi).

Pokój zwyczajnie umeblowany, w głębi szafa, stolik, sofa, na przodzie sceny stoją dwa krzesła.

SCENA I-sza.

KAZIO, JADWINIA.

KAZIO (wchodząc na krzesło). Dalej Jadwiniu, wchodź prędko, będziemy skakać,

JADWINIA (wchodzi również na krzesło powoli). Prędko, prędko, lepiej wolno a dobrze.

KAZIO. Baczność! jak powiem trzy! zeskakuj, tylko zgrabnie i prędko, a nie padnij na ręce.

JADWINIA. No, no, nie obawiaj się i zaczynaj.

KAZIO (podnosząc rękę do góry). Raz... dwa... dwa... baczność! i... i... trzy! (zeskakuje z krzesła).

JADWINIA (próbując zeskoczyć, pochyla się parę razy, w końcu prostuje się i staje). Mój Kaziu, zaczynaj jeszcze raz rachować, to krzesło takie wysokie, że aż mię strach bierze...

KAZIO (wchodząc znów na krzesło). Żeby cię aby nie wziął, ach te dziewczęta to takie tchórze, że aż śmiech bierze naprawdę!

JADWINIA. Żeby ciebie aby nie wziął.

KAZIO. Co? żeby mię nie wziął?

JADWINIA. No śmiech, bo cię przecie bierze.

KAZIO (kręcąc głową). Nie wiedziałem żeś taka do-wcipna.

JADWINIA (śmiejąc się). A widzisz. Lecz mniejsza o to, rachuj raz jeszcze, tylko wolno, mój Kaziu.

KAZIO. Tylko uważaj i pilnuj się. Raz... dwa...

JADWINIA (za każdym razem przychyła się nieco). Aby nie krzyknij głośno, bo znów nie zeskoczę.

KAZIO (wzruszając ramionami). E, z tobą się bawić niepodobna, a wolno, a nie głośno! cóż to? czy dzieckiem jesteś?

JADWINIA. Tylko mnie dzieckiem nie nazywaj, bo się wcale bawić nie będę.

KAZIO (bardzo wolno i cicho). Raz... dwa... dwa... i... i... trzy! (zsuwa się wolno i ostrożnie z krzesła).

JADWINIA (obrażona). Kiedy sobie żartujesz, baw się sam, jesteś nieznośny. (schodzi ostrożnie z krzesła).

KAZIO. Ja? ja nieznośny? Robię co chcesz i jeszcze się gniewasz!

JADWINIA. Tak, ciągle tylko żartujesz.

KAZIO. No, już nie będę, nie gniewaj się, szkoda czasu, godzina rekreacji minie jak z bicia trzaski, a zamiast zabawy, będą dąsy.

JADWINIA. Więc się bawmy, ale wymyśl co innego, skakać z krzesła, to wcale nic zabawnego.

KAZIO (zamyślając się). Coby tu wymyśleć... to złe... to nie wesołe... (milczy chwilę) ach! już wiem, urządzimy sobie zabawę wyśmienitą, wybornie!

JADWINIA (ciekawie). Co? co, mój Kazieczku, ja tak lubię wesołe rzeczy!

KAZIO (triumfując). Urządzimy sobie teatr amatorski.

JADWINIA. Teatr? my we dwoje i bez przygotowania?

KAZIO. Właśnie to będzie najzabawniejsze, my sami skomponujemy sobie sztukę (zacierając ręce) wybornie! a to mi wynalazek, ho, ho, nie od kształtu mam głowę na karku.

JADWINIA. A co przedstawimy?

KAZIO. Zaraz, poczekaj, tobie się zdaje że to tak można jedno po drugim wynaleść, trzeba pomyśleć. (zamyśla się).

JADWINIA. Ale bo widzisz, godzina minie, i panna Aniela zawoła do lekcyi.

KAZIO. Z tą panną Anielą to czyste utrapienie, minuty nigdy nie daruje!

JADWINIA. A widzisz, trzeba się więc spieszyć.

KAZIO. Żeby choć Mania przyszła, ale ona to nigdy poważnie bawić się nie umie, to jest, to jej niema, i teraz pewnie po ogrodzie buja.

JADWINIA. No, no, wymyślaj prędko przedstawienie.

KAZIO (zakłopotany). Może by co z historyi świętej?

JADWINIA. Historya święta dobra, ale nie wesoła.

KAZIO. Czekaj, weźmiemy co wesołego (myśli) wiem Rebeka przy studni.

JADWINIA. A wielbłądy masz?

KAZIO. Prawda, nie można (myśli, potem wykrzykuje) Dziesięć plag egipskich!

JADWINIA (wzruszając ramionami). A to dopiero wesoło! a zresztą jakbyś to urządził?

KAZIO (zakłopotany). Sądziłem że to będzie łatwiej, ale czekaj, muszę co wynaleść (zamyśla się).

JADWINIA. Tylko się śpiesz.

KAZIO (radośnie). Wiem! wiem, przedstawimy Estere przed Aswerusem, ty będziesz Estera.

JADWINIA. Estera? ja nie chcę.

KAZIO. Czemu nie? Estera była piękną, i ślicznie wystrojoną.

JADWINIA. A ty czem będziesz?

KAZIO. Królem.

JADWINIA. Królem?

KAZIO. Tak jest, Estera była... czyli będzie moją żoną... Będę więc królem, a ty moją żoną, przyjdiesz uklękniesz...

JADWINIA (przerywając). Nie uklękne. Ja przed tobą klękać nie myślę!

KAZIO. Ale to na żarty, a zresztą ja będę królem.

JADWINIA. Nie chcę, wymyśl co innego.

SCENA II-ga.

KAZIO, JADWINIA, MANIA.

MANIA (wbiegając, rzuca na stół kapelusz). Szukam was po całym ogrodzie, taki śliczny czas, a wy siedzicie w pokoju.

KAZIO. Ach! dobrze żeś przyszła, już teraz z pewnością nam się uda.

MANIA. Co takiego?

KAZIO. Chcemy urządzić przedstawienie, mamy godzinę rekreacji, zabawilibyśmy się wybornie.

MANIA. Jakto? Przedstawienie amatorskie? Teatr?

KAZIO. A tak, już wymyśliłem, przedstawilibyśmy Esterę przed Aswerusem.

MANIA. Wybornie! ty będziesz królem, ja Esterą, a Jadwinia... Jadwinia...

KAZIO (do Jadwini). A widzisz? Mania sama chce być Esterą, nie musi to być nic złego.

MANIA. E, to tylko w zabawie, bo naprawdę tobym nie chciała być Esterą. Ale, czem zrobimy Jadwinie?

KAZIO. Damą dworu.

MANIA. Pysnie! zabierajmy się żwawo do dzieła (krząta się) ot, tu na tym stole urządzimy tron.

JADWINIA. Ja Esterą nie będę.

MANIA (machnąwszy ręką). Ale będziesz, będziesz, ty nam zawsze chcesz popsuć zabawę.

JADWINIA (kapryśnie). Nie będę... mamusia nawet by nie chciała żebym ja była Esterą.

MANIA. Zdaje ci się, mamusi nie szkodziłoby to wcale, zresztą przecież to tylko zabawa. Będziesz więc damą dworu, przy moim boku, źle ci nie będzie. Dalej, dalej do roboty!

KAZIO. Szkoda, że niema kogo żeby był Mardocheuszem, prawda?

JADWINIA. A kto to Mardocheusz?

KAZIO. Mardocheusz... no, to widzisz... był sobie Mardocheusz (n. s.) dobrze że ja tyle pamiętam, a jeszcze miałbym tam wiedzieć kto, a gdzie? Nudziarka z tój Jadwini.

MANIA. Przeczytasz sobie jutro cały rozdział, a teraz do roboty. Czekajcie, przyniosę kapę z łóżka, okryję stół, to będzie tron. Ale jeszcze na stole postawimy krzesło, to będzie wyżej. (wybiega).

KAZIO (szukając po pokoju). Muszę się ubrać po królewsku.

JADWINIA. Ja się tam nie przebiorę.

MANIA (wracając z kapą). Patrzenie, czerwona kapka, będzie zupełnie jak tron królewski (okrywa stół, stawia potem na stole krzesło, poręcz którego okrywa swym fartuskiem, zdjawszy go z siebie).

KAZIO. Paradnie! teraz tylko idzie o to, aby i dla mnie strój wynaleźć.

MANIA. Wszystko będzie dobrze, ale czekajcie, niech tylko uporządkuję myśli.

(d. c. n.)

HOMONIM.

Dla Chmurki od Niezapominajki.

Nutą jestem lecz możecie
Mieć i drzewo gdy zechcecie.

ZADANIE KONIKOWE.

		Nie	dziś		
		tra	kła		
dzia	od	na	two	zro	daj
moż	ju	two	my	go	ła
		co	bić		
		do	te		

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go

Zagadki: **P i e c.**

Łamigłówki sylabowej:

1. Austrya. 2. Tokat. 3. Eisenach. 4. Negro. 5. Inkas.
Ateny — Athos.

Skrzynka do listów.

Jeżeli osoba pisząca do nas pod imieniem Róży pragnie na list swój mieć odpowiedź, powinna przysłać dokładny adres, inaczey bowiem posłać jęj odpowiedzi nie możemy.

Prosimy **Mrówkę leśną** aby własną rączką do Redakcyi napisała; wielkie, a foremne literki sprawiają nam wielką przyjemność.

P. R. Kosińskięj stosownie do życzenia pozostałe rs. 1 kop. 30 oddaliśmy na cel przeznaczony, i w imieniu biednych obdarzonych Bóg zapłać przesyłamy.

Brunetko, zaczynam list dzisiejszy od sprzeczeki z tobą: jak możesz nawet pytać, czy ja „każdę“ korespondentce odpisuję? Ma się rozumieć, że każdej — i każdej nowo przybywającej serdecznie jestem rada; wiem bowiem, że mi w niej siostrzyczka przybywa. To też w listach waszych nie opisów szukam i nie sprawozdań z podróży, lecz poprostu słów z serca płynących, szczerych, życzliwych, nazywających mnie „starszą siostrzyczką“ jak to czyni Kinga. Droga moja, z latami, których mam znacznie więcej

od ciebie, tak mi coraz więcej przybywa zajęć i obowiązków, że coraz to mniej udziału biorę w wewnętrznych sprawach Redakcyi i dla tego nic ci nie mogę powiedzieć o komedyjce. Liściki także wychodzą z pod mojej opieki, a jednak i ja także, tak samo jak **Główka cukrowa** „zawsze kocham Wieczory“ i zawsze je przebiegam z zajęciem. **Balladyno**, to co poprzedziło słowa zwrócone do Kingi, zastosuj do siebie i radzę: niech cię nie „napada melancholia“. Czyż dla nagrody tylko piszesz wypracowania? Nie obawiaj się sądu; nie jest on zbyt surowy, bo redakcyja zawsze powtarza, że wystarczy jęj to, gdy widzi, iż uczestnicy konkursu starają się pisać „najlepięj jak umieją“. Nie, droga moja, odpowiadź twoja nie jest trafną, a wypracowań nagrodzonych nie można ani drukować, ani rozsyłać innym uczestnikom konkursu. Dlaczego nie ja zadaję wypracowania konkursowe? tak-że Kindze odpowiedziałam już na to. Przykro mi, że **Bystremu koniowi** nie mogę dać zupełnie pewnej odpowiedzi: nie znam bowiem innego sposobu zasuszania liści dębowych nad zwyczajny, w bibule. Może która z was, siostrzyczki, potrafi udzielić żądanej wiadomości memu młodocianemu przyjacielowi. Drugiego mam także: **Kozaka Sawę**, który przyniósł dla mnie do Redakcyi śliczne zużę; największego z nich użyłam na przycisk i ile razy nań spojrzę zawsze z wdzięcznością myślę o tym poczciwym chłopaczku, który nawet w podróży, daleko od Warszawy, pamięta o Gołąbce. Bo że nie zapomniała o mnie **Biała Ostróżka**, tego zupełnie byłam pewną pomimo długiego jęj milczenia. List „z Warszawy“ o który się upominasz siostrzyczko, masz chyba w ręku w tej chwili. Jak się to stało, że **Kuropatewka z nad Warty** nie odebrała ode mnie odpowiedzi na liścik „przed rokiem“ pisany (żebyście też wiedzieli jak porządnie w dwóch linijkach pisze ta ptaszyna!) o tem nie mam pojęcia. Dobrze jednak robisz, wierząc, że ci choć „parę słówek“ odpiszę. Dokładam nawet do nich uścisk siostrzaczny. Tobie zaś, kochana **Wróżbiarko szczęścia**, wraz z uściskiem i podziękowaniem ślę, za opis tak pięknej, tak wzruszającej uroczystości. Potrafiłaś mi ją opisać tak, że zdaje mi się, jakoby tam była i z tobą dzieliła pobożne tej chwili wzruszenie, tak jak dzielę z wami, drogie moje, wszystkie wrażenia i uczucia.

Gołąbka.

Kochana Gołąbko z nad Wisły! Wiem kto jesteś. Nazywasz się Helenka B. jesteś jedynaczką, a przytem wielką figlarką. Ja jestem już staruszką. **Wieśniaczka**.

Kochane Siostrzyczki. Pierwszy raz piszę do Wieczorów i sprawiłoby mi wielką radość, gdyby która odpowiedziała mi. Mieszkam na wsi, mam lat dwanaście, na imię mi Janina. Przyznać się wam muszę że niestety więcej lubię przyjemności jak naukę. Jaskółko poleska! Jestem nową korespondentką Wiecz. Rodz. Ponieważ zaciekał mi twój opis proszę cię abyś mi coś więcej kochana Tunguzko o Syberyi opowiedziała. Wkrótce skończę lat 11, a z nauk najlepięj lubię muzykę i język francuski. Koniecznie prosiłaś milutka Pieszczotko tatusia, aby która z panienek napisała do ciebie, odzywam się więc donosząc że mam lat 11, na imię mi Malwinka i bardzo lubię ptaki. Pozdrawiam was serdecznie i pragnę poznać osobiście. **Rosa majowa**.

Kochane Panienki! Bardzo mi się podobały wasze liściki i pseudonimy i pragnę się z wami poznać. Wkrótce skończę lat 14, na imię mi Marya. Droga Sarenko z nad Morocz! Znam cię z opowiadania, proszę abyś pomimo sędziwego wieku napisała do mnie. Tymczasem siostrzyczki kochane nie zapominajcie o mnie. Czekając odpowiedzi załączam wam siostrzaczny uścisk **Jutrzenka Poleska**.

Pszczółko złota, na imię mi Zosia mam 10 lat, podoba mi się bardzo „Przed lat tysiącem“. Igielko najdroższa, jesteśmy w równym wieku, dla tego pragnę szczerze zapoznać się z tobą i zapytać czy się upodobania nasze zgadzają. Ja z nauk najlepięj lubię historię powszechną i arytmetykę, ale i innemi naukami chętnie się zajmuję. Najlepięj z rozrywek lubię taniec i ślizgawkę. Basiulko, lubię grać w piłkę, ale wolę krokiet. Wasza **Kinga**.